№ 46 (Rok Piąty.) MAGAZYN POWSZECHNY. (Drugie Półrocze 1838.)



# KANCLERZ BAKON.

Nazwanie to noszą dwaj znakomici Anglicy, przedzieleni od siebie przeciągiem czasu, półczwarta wieku wynoszącym. Jednym z nich był Roger Bakon zakonnik, urodzony roku 1214 a zmarły w 1290 lub 1294; ten, tak wiele posiadał wiadomości z nauki przyrodzenia, i tak dalece współczesnych w niéj przechodził, iż o czarnoksięztwo posądzony, do więzienia wtrącony został. Drugim zaś był kanclerz Franciszek Bakon, baron Werulamski, urodzony w Londynie 1561 a zmarły 1626 roku, i tego właśnie nasza rycina wyobraża.

Ojciec jego, znakomity prawnik owego czasu, posiadał względy królowéj Elżbiety, młody więc Franciszek wzrastał pod wpływem przyjaznych dlań okoliczności. Na wzór swojego ojca, oddał się prawoznawstwu i nader wcześnie wielkie zdolności w prowadzeniu spraw rozwinął. Przez swoją nadzwyczajną zdatność i obrotność, tyle dokazał, iż w 28 roku życia, Królowa Elżbieta mianowała go swoim radzcą nadzwyczajnym. Zostając u dworu Bakon, wahał się pomiędzy stronnictwami, które go rozdzielały; a doznawszy najczulszéj przyjaźni i dobrodziejstw Essexa, nieumiał bronić swojego dobroczyńcy w nieszczęściu, i gdy ten głową winę swoją opłacił, publicznie przeciwko niemu wystąpił. Czyn ten niewdzięczny, obudził przeciwko niemu powszechną niechęć, a nawet zawziętą nienawiść. Napróżno usiłował odzyskać utraconą wziętość, zostawszy wybranym z Hrabstwa Middlesex w 1593 roku na członka izby poselskiéj; a obrażona królowa Elżbieta w zapomnieniu go zostawiła. Wstąpienie na tron Jakóba Igo, było jednakże pomyślnym dla Bakona wypadkiem. Nauka jego przyszła mu w pomoc, albowiem król i sam był światły i uczonych lubił. Nadał mu godność szlachecką, mianował radzcą i w fundusze opatrzył. W tém nowém powodzeniu, Bakon tak się prędko ze stopnia na stopień posuwał, iż w roku 1619, Lordem kanclerzem, następnie baronem Werulamskim został, w końcu zaś, godność Visconta St. Albańskiego pozyskał. Na nowym swym urzędzie, tyle chciwości i łakomstwa okazał, iż powszechne użalania się na niego ze wszech stron powstały, a w roku 1621 w izbie Lor-

dów był zaskarżony o przedajność w przyznawaniu urzędów i przywilejów. Mniemał, iż swoich sędziów rozbroi szczerém wyznaniem winy i pokorą; lecz wszystko to było naprózno; pomimo żalu samychże Lordów, którzy w wymownym i uczonym Bakonie ozdobę swoją upatrywali, został skazany na zapłacenie 40,000 funtów szterlingów i więzienie w Tower; Król jednak wyrok ten złagodził, odsądzając go na przyszłość od wszelkich urzędów, i wzbroniwszy mu znajdowania się w tém miejscu, gdzie dwór królewski przebywał. Odtąd z całym zapałem oddał się Bakon naukom, i starał się błędy swoje, siłą geniuszu zagładzić; co się też mu w zupełności powiodło. Później powrócił mu król swoje względy, a Karól I, chętnie go ułaskawił. Potomność dla mnogich jego zalet, przebaczyła mu błędy, które raczéj słabemu charakterowi, aniżeli złośliwości, przypisać należy.

Nadzwyczajna była rozległość jego nauki i wiadomości. Filozofii nadał nowy kierunek, oparłszy ją na postrzeżeniach i przyrodzeniu, i tym sposobem rozjaśnił praktyczną stronę rozumu naszego; a najdoskonalszém zastosowaniem empirycznéj jego metody, jest jego *novum organum scientiarum*. Zadziwiające są jego postępy w nauce przyrodzenia, i z pewnością powiedzieć można, iż nierównieby jeszcze daléj naprzód postąpił, gdyby w owym czasie, rozmaite narzędzia były już tak wydoskonalone, jak teraz, i gdyby gruntowniéjsze wiadomości matematyczne posiadał. Miał już on wyobrażenie machiny pneumatycznéj, odgadywał ciężkość i sprężystość powietrza, jakie własności Galileusz i Toricelli dopiéro późniéj odkryli, a nawet domyślał się o istnieniu siły powszechnego ciążenia, którą obwieściwszy Newton, prawa działania jéj wyprowadził. Historyą naturalną, w wydaném przez siebie dziele skreślił, a nawet w przedmiocie sztuki lekarskiéj, wydał kilka rozpraw, lecz że na początku wieku XVII fizyologia i chemia w kolebce zostawały, przeto, pomimo całéj siły geniuszu swojego, niemógł się ustrzedz Bakon niektórych uprzedzeń owoczesnych, a nawet i ważnych błędów, jakie w twierdzeniach jego lekarskich postrzegać się dają. Tylko w nauce astronomii stał daleko niżéj, od światłych mężów owego czasu; dlatego mało przywiązywał wartości do systematu Kopernika, żartował nawet z jego nieśmiertelnéj teoryi; to pokazuje, jak trudno być bezstronnym w rozległéj nauk dziedzinie, i jak ciężko jest największemu nawet geniuszowi, wznieść się po zagranicę pojęć wiekowych. We względzie prawoznawstwa moralności wyborne po sobie dzieła zostawił. Jako historyk znany jest tylko z opisów życia *Henryka VII* i *VIII*, które jednak mało są cenione. Do żądzy reformy w naukach, łączył on trafne uwagi i badania nad starożytnością, i wielu wybornemi pomysłami objaśniał zmyślenia mytologiczne i allegorye starożytnych. Zasługi, jakie położył w popędzie nadanym postępowi nauk, i ich kierunku tak są wielkie, iż nikt zaprzeczyć niemoże słuszności słów jego, które ze szlachetną dumą w testamencie swym wyrzekł: „Przekazuję pomysły, a z niemi i imię moje wszystkim obcym ludom, jako też i ziomkom moim.“

W życiu towarzyskiém okazywał Bakon te wszystkie przymioty, jakie dzieła jego cechują; gruntowność myśli, żywość wyobraźni, i nowość postrzeżeń; przytém szczególniéjszy dar tłumaczenia się posiadał; albowiem mowę swoją z dziwną łatwością do pojęcia każdéj osoby nagiąć umiał. Powierzchowność nader miał przyjemną i miłą. Głośny był z prędkich i dowcipnych odpowiedzi, w rozmowie potocznéj dawanych. Z nich dwie tylko przywiedziemy, z których jedna do wieku młodzieńczego, a druga do jego starości, należą. Gdy był jeszcze bardzo młody, królowa Elżbieta spytała go, ile lat liczył: „Dwódziestą laty jestem młodszy, od szczęśliwych rządów Waszéj Królewskiéj Mości“ odpowiedział Bakon. Na łożu śmiertelném drugą dał odpowiedź. Pewien znakomity francuz, który go kilkakrotnie odwiedzał i którego Bakon przyjmował zawsze w łóżku, tak okrytym zasłoną, iż chorego niemożna było widzieć, rzekł do niego pod czas jednych odwiedzin: „podobny jesteś do aniołów; zawsze można słyszeć o tobie, a jednak oglądać cię niepodobna.“ Bakon odpowiedział: „śmierć moja wkrótce dowiedzie, iż byłem tylko człowiekiem.“

---

# PODRÓŻ
## DO
# BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.
*(Ciąg dalszy.)*

## ROZDZIAŁ VII.

*Osobliwości właściwe Szpitzbergowi.*

W połowie Sierpnia często mieliśmy śniegi, które spadając topniały. Przez dni kil-

ka, takie były ciepła, że przypomniały naszą angielską wiosnę; pomimo to, iż temperatura była tak wysoką, że ulatniając wodę, zdołała z niéj sól oddzielać, którąśmy w rozpadlinach skał znajdowali; jednakże nie doświadczaliśmy nigdy tego ciepła, które ożywiającém i miłém nazwać można; a to z powodu wyziewów zimnych, pochodzących z wysp lodowych i gór śnieżnych, które ku wieczorowi tak były nieznośne, że po dniu skwarnym musieliśmy się odziéwać w nasze futra i ogrzéwać się przy piecu. Mgła niekiedy była tak gęsta, żeśmy w odległości 12 prętów nic około siebie widziéć nie mogli. W obłokach migały ognie elektryczne, lub jaśniały błyskawice, lecz rzadko słyszeliśmy grzmoty, których łoskot prawie był podobny do posuwania się ogromnéj massy lodu, gdy ta, oderwawszy się z wierzchołka góry, po jéj pochyłości spada. Wiatr częstokroć dmie tak gwałtowny, iż porwawszy wodę i śniegi, rozrzuca je w powietrze nakształt pyłu.

Przymrozki dają się czuć pod koniec września i wtenczas trzeba się już pożegnać z króciutkiém latem, które rozpocząwszy się w końcu czerwca, w niczém się wcale nie różniło od angielskiéj wiosny lub jesieni.

Z razu woda się ścina przy brzegach, tém łatwiéj, że przybieranie morza nigdy głębokością jednéj stopy nieprzechodzi; potém, lody rozszerzają się od jednéj wyspy do drugiéj, a następnie skrzepłe te gościńce, wiodące zjednego do drugiego miejsca, tak dalece się mnożą, iż w końcu zamknąwszy ujścia rzek do zatok, całą powierzchnię oceanu w step lodowy przekształcą.

W ciągu krótkich moich wycieczek, widziałem dwóch reniferów, których zabić mi się udało; lecz powodzenie to, nie było bez niebezpieczeństwa; a nawet razu jednego, bez mała, podróży méj nie zakończyło. Drganie powietrza sprawione wystrzałem, oderwało z boku góry wielką massę śniegu, która nieochybnie by mię zasypała, gdybym się nagle nie usunął w stronę. Ocalenie moje, opłaciłem utratą zdobyczy; która została głęboko w śniegu zagrzebana.

Lisy i renifery stanowią jedynych prawie mieszkańców téj okropnéj wyspy; piérwszy, wielce podobny do niedźwiedzia, od którego się tylko różni barwą i wielkością. Głowę tylko ma czarną, a z resztą jest biały; będąc z gatunku mięsożernych, robić musi latem, zapasy żywności na zimę; te któreśmy widzieli, wydały się nam bardzo wielkie, pomimo to jednak, biegały tak prędko i zręcznie, żem tylko jednego z nich zabić zdołał. Wnosić można, iż się żywią rozmaitemi gatunkami ptaków, które gromadnie na letnią porę tu się zlatują.

Ptak, *lodowym* zwany, nader jest piękny, lecz w téj okolicy bardzo rzadki, koloru i kształtu synogarlicy, a pierze jego jasnożółte, na słońcu jak złocisty obwód ogona pawiego wygląda; niekiedy nawet niemożna nań patrzéć dla lśniącego blasku.

Zwierzęta wodno-ziemne, zdają się dla tego klimatu stworzone, wiele się tu znajduje gatunków, do rodzaju foki lub rzędu wielorybów należących. Cielęta i psy morskie nader są pospolite i znajome; lecz koń morski, tylko właściwy wysokiéj szerokości geograficznéj, niebardzo jest liczny. Sami jedynie majtkowie mogli porównać to zwierzę do konia, bo niema między niemi więcéj podobieństwa, jak pomiędzy wielorybem i słoniem.

## ROZDZIAŁ VIII.

*Powrót zimy. Skutki mrozu. Niedźwiedzie białe. Straszliwa burza. Zorza północna.*

Byliśmy w początkach Października, a już atrament przy ogniu zamarzał. Sciany i słupy w naszém mieszkaniu okrywały się lodem; a nawet kołdry nasze, niebyły wolne od niego. Wszystkie napoje skrzepły, wódka i wyskok winny przybrały postać zmarzłéj oliwy, sama zaś oliwa podobną była do słoniny, tak, że się jak spermaceti krajać dawała.

Zimno codziennie się wzmagało, aż do początku Marca, i tak było gwałtowne, że kamienie pękały i rozlatywały się z trzaskiem. Morze czasami pokrywało się parą tak gęstą, jak dym z chlebnego pieca; parę tę zowią dymem lodowym. Nietyle jest ona zimna co powietrze czyste, i jeśli kto opuści brzegi, a w środek téj mgły pójdzie, doświadczy tam łagodniéjszéj temperatury, chociaż odzież i włosy jego pokryją się szronem. Wyziewy te, sprawują rozmaite na skórze krosty, a w miarę podnoszenia się swojego w atmosferze, zamienia się w małe kawałki lodu, tak ostre, że niepodobna zatrzymać się przez chwilę, nieodmroziwszy rąk i nosa.

Wewnątrz naszego mieszkania, niemniéj ciekawy był widok porozsadzanych beczek od mrozu, i ludzi zatrudnionych rozbijaniem i piłowaniem brył skrzepłego piwa. Mięsiwa nasze były niby skamieniałe, i niejedno-

krotnie zdarzało się, że długo nawet gotowane, podawano nam na stół, jeszcze czerwone, a nawet we środku zmarzłe.

Wszystkie narzędzia matematyczne, wpływem zimna nadwerężone, niezdatne były do użytku; musieliśmy przeto nasze teleskopy obwijać futrami, aby ochronić je od spękania. Wielkie goździe użyte do budowli, do tyla się skurczyły, że się bez trudności dawały wyciągać. Żaden zegarek iść niemógł, nie będąc trzymany przy ogniu, i to jeszcze zamknięty w pudełku wełną wysłaném i futrem okrytém. Niebezpieczeństwem wówczas groziło dotykać metalu, szkła lub fajansu; rozmaite te materye mogły przylgnąć do ręki tak mocno, że niemożnaby inaczéj je oddzielić, chyba odrywając wraz ze skórą. Szklanka wody wylana, w powietrzu się ścinała.

Dwa nasze koty (jeden koloru żółtego, a drugi pstry) tyle cierpiały od ostrości zimna, że prawie się piekły zbliżając się do ognia; a jeszcze przed dojściem mrozów do najwyższego stopnia, piękna barwa ich futra, całkiem zbielała. Takaż metamorfoza zaszła i z psami, zrobiły się doskonale białe i tak były słabe, iż stan ich, mało się różnił od zupełnego uśpienia.

W mieszkaniu termometr często wskazywał 20 stopni pod zerem, a żywe srebro wystawione przezemnie w filiżance na powietrze, tak stwardniało, iż można było je rzucać na ziemię, a zgoła się na części nie rozbijało. Ciepło pieców i lamp zaledwie wystarczało do utrzymania krążenia krwi naszéj, lubo byliśmy zawinięci w futra i flanelle, nie kładąc żadnéj bielizny na ciało. Doświadczając gwałtownego naciskania, wnosiliśmy, że na otwartém powietrzu niepodobnaby było oddychać.

Takim jest ten klimat, w którym jednakże usiłowano zakładać osady.

Zrobiwszy wszelkie potrzebne rozporządzenia, dla zabezpieczenia się od okropnych skutków już dającego się czuć zimna, bawiliśmy się polowaniem na cielęta i woły morskie, oraz białe niedźwiedzie; te ostatnie, zgromadzały się w wielkiéj liczbie na lodach już jedną tylko massę stanowiących. Niedźwiedź biały okrutny jest i niebezpieczny, a spokojności swojéj bezkarnie naruszyć nie pozwoli. Przy blasku księżyca, albowiem w téj porze dnia nie było, puściliśmy się w ośmiu z czterema psami, wzdłuż brzegów morza, i wkrótce usłyszeliśmy ich wycia. Stanęliśmy więc na zasadzce, za grubym lodem, wznoszącym się w kształcie wału przy brzegu morskim. Usłyszawszy ich kilku zbliżających się ku nam, mieliśmy się na ostrożności. Slapperwack, Saunders i ja, byliśmy uzbrojeni w wielkie muszkiety, inni zaś mieli piki; ta ostatnia broń jest nieodbicie potrzebną, gdyż kula same tylko piersi tego zwierza przeniknąć może; jeśli więc nie jest w nie trafiony, i ranę tylko odniesie, wówczas rzuca się z zajadłością na swego przeciwnika, pierwéj jeszcze nim ten znowu broń swoją nabije.

Gdy jeden z nich odłączywszy się od gromady, podchodził ku nam; Saunders i ja, wystrzeliliśmy o dwanaście kroków. Zwierze czując ranę, nagle się zwróciło i wydało krzyk do ryku i wycia razem podobny; głos ten prawdziwie był przestraszający, a echo skał powiększało jeszcze jego okropność. Zaledwie mieliśmy czas spostrzedz jego głęboką ranę, gdy zaczął przed nami uciekać; potém, jakby po rozwadze, rzucił się ku nam, z otwartą paszczą i iskrzącemi od wściekłości oczyma. W téjże chwili podeszli nasi towarzysze z pikami, rzucił się na ich ostrza z taką gwałtownością, że się na stóp parę w nim zatopiły, a ludzie od tego uderzenia, popadali. Gdyby nie odebrał ran tak strasznych, przypłacilibyśmy drogo naszą zuchwałość. Postrzegłszy że śmierć jego ściągnęła uwagę pozostałych towarzyszy, porzuciliśmy go na miejscu, i co prędzéj zemknęliśmy od walki, która lubo przy pomocy naszéj broni, byłaby jednak bardzo nierówną. Woleliśmy raczéj polować na cielęta morskie, mogące nam dostarczyć na niejaki czas żywności. Zabiliśmy jedno blisko naszego okrętu. Zabrawszy z niego wszystko, co się przydać nam mogło, porzuciliśmy kości, w przekonaniu, że niedźwiedzie przyjdą paść się ostatkiem naszéj zdobyczy. W rzeczy saméj zapach mięsa sprowadził jedną samicę z dwojgiem małych niedźwiedziąt, widzieliśmy je, jak z chciwością szczątki te pożerały. Opatrzeni bronią palną, wspólnie wystrzeliliśmy do nich, położyliśmy dwóch młodych na miejscu, a matka została także ranioną, lecz rana jéj nie była śmiertelną.

Prawdziwie, musieliśmy się litować patrząc na to nieszczęśliwe zwierze, okazujące żal macierzyński, przy umiérającéj swéj dziatwie. Pomimo ciężkiéj rany, i zaledwie mogąc się wlec do miejsca, gdzie się te już kończyły, wyrwała kawał cielęcia morskiego i położyła przed niemi, a widząc, że nie jadły, brała jedno po drugiém w swe łapy, pieściła i usiłowała je unieść, napełniając

powietrze krzykiem i jękami. Nakoniec poznawszy, że jéj starania były daremne, niechętnie kilka kroków odeszła; zatrzymała się znowu, i spojrzawszy za siebie, rozpoczynała swe skargi; raz jeszcze powróciła ku nim i lizać je zaczęła. Potém znowu się od nich oddaliła, i z pewnéj już odległości ku nim spoglądała; następnie zatrzymawszy się na chwil kilka, powietrze bolesnym swym jękiem napełniała. Lecz gdy na ten głos boleści, dzieci jéj nieruchome zostawały, wróciła do nich na nowo i brała je z kolei w swe łapy, z oznaką nieopisanéj czułości. Nakoniec przekonawszy się, że już ostygły, i bez czucia leżały, zaczęła rozmyślać o przyczynie tego wypadku, a podnosząc ku nam głowę, zdawała się wyraźnie grozić swą zemstą; lecz w chwili, kiedy niedbając na swe rany, poskoczyła ku nam, powtórne wystrzały położyły ją pomiędzy dziećmi, i zakończyła życie liżąc ich rany.

W ciągu miesiąca Grudnia, straciliśmy dwóch psów z powodu zimna, to nas naraziło na nieprzyjemność pomieszczenia pozostałych w naszém mieszkaniu. Łatwo sobie wyobrazić można cierpienia nasze, w tych strasznych miesiącach; w których niemogliśmy przekroczyć naszéj zasłony, bez narażenia się na utratę życia. Tyle ludzi i psów żyjących pospołu wśród nieuchronnych nieczystości, utrzymywało w naszém mieszkaniu zaduch śmiertelny, który się powiększał jeszcze wyziewami gnijących niektórych surowych żywności, wonią tranu, dymem lamp i pieców. Oprócz tych niewygód, często musieliśmy rozbijać kawały lodu, gromadzącego się wewnątrz komina, dla ułatwienia przejścia dymu, który bez téj ostrożności, niezawodnie by nas udusił.

Łatwo można odgadnąć, że w podobném położeniu małośmy mieli chwil przyjemnych; jakoż, niedoświadczaliśmy innéj rozkoszy, nad uczucie ciepła ogniowego. Zimno w miesiącach Styczniu i Lutym, było tak mocne, że wnętrzne zwierzęce ciepło, niewystarczało do utrzymania życia; wpadliśmy przytém w taką otrętwiałość, żeśmy nie mogli bez przymusu porzucić prostego naszego posłania, na którém zostawaliśmy trzy części czasu naszego, śpiąc lub leżąc.

W początkach Grudnia, śnieg bez przerwy padał dni kilka, i warsta jego, pokrywająca nasze mieszkanie, dochodziła stóp dwudziestu, dlatego niepodobna było odsunąć zapory. Byliśmy więc bardzo strwożeni rozmyślając o grożącém niebezpieczeństwie uduszenia się z niedostatku powietrza. Teraz równie jak i pierwéj przebiliśmy kijmi otwór w lodzie, który się we wnętrzu komina nagromadził; następnie za pomocą tychże kijów końcami powiązanych, zrobiliśmy wskróś tego grubego śniegu, kanał wązki, który dał przejście dla powietrza i dymu; niespełna w godzinę, ściany tego osobliwszego komina pokryły się kryształami lodu, albowiem powietrze zewnętrzne ścinało wodę, w miarę tego, jak ciepło dymu śnieg topiło. Tak zagrzebani pod śniegiem, zostawaliśmy około dwóch tygodni, niemogąc równie opuścić naszego mieszkania, jak Noe nie mógł otworzyć swéj arki w czasie potopu. Pomimo przedsięwziętych ostrożności dla ochrony przeciwko zalewom, niebezpieczeństwo z tego względu było dla nas zbyt grożące; albowiem, gdyby woda w czasie topienia się śniegów, zrobiła sobie przejście, choćby najmniéjszą szparą, bezwątpienia w krótkim czasie zapełniłaby nasze podziemie, bez względu na wszelkie środki, którychbyśmy używać mogli.

Muszę powiedzieć na pochwałę moich towarzyszy, iż żaden z nich nie szemrał, wpośród niebezpieczeństw i trudów nas otaczających; a jednak niektórzy z nich straszliwie od mrozu ucierpieli. Mieliśmy wprawdzie wszystko pod ręką, co tylko wskazać mogła przezorność, a jednak jesteśmy przekonani, że gdyby jednéj rzeczy z naszych zapasów nam zabrakło, wówczas chyba cudem tylko potrafilibyśmy oprzéć się ostrości tego klimatu.

Żywą niespokojność z powodu grożących nam zalewów, rozpędził wkrótce okropny uragan, jakiegom nigdy nie widział: w oka mgnieniu te okropne massy śniegu, wznoszące się po nad naszemi głowy, zostały rozrzucone od wichru unoszącego je z taką gwałtownością, że z całego przyrodzenia które nas otaczało, same tylko góry zdolne były przed nim się ostać. Łoskot téj burzy, wzruszającéj atmosferę we wszystkich kierunkach, podobny był do grzmotu, z wichrem połączonego, i mniemaliśmy słyszéć ocean toczący się po nad naszemi głowami, a ziemia zdawała się drżeć w posadach swoich; co chwilę spodziewaliśmy się ujrzeć, porwany od wiatru dach naszego podziemia, i obawialiśmy się zostać odkryci w naszém schronieniu, jak ptaszek w swém gnieździe, kiedy zbliżają się kosarze, ścinający osłaniającą je trawę.

Byliśmy pewni, że nasz okręt, niemogąc oprzéć się tak okropnéj burzy, zniszczony był do szczętu; a następnie musieliśmy się

rozstać z nadzieją pomknięcia daléj na północ poszukiwań naszych, i przewidywaliśmy smutną konieczność dostania się do jakiego kolwiek statku na połów wielorybów tu przybywającego, któryby z niesławnéj naszéj wyprawy, do domu nas odwiózł.

Myśl ta tyle mię niepokoiła, że natychmiast po uciszeniu się wiatru, niepomny na niebezpieczeństwa, chciałem udać się na brzeg morza. Nasza zapora tak dobrze była zasklepiona lodem, żem nie mógł otworzyć jéj, aż dopiéro za użyciem dłóta i drągów. Okropność mię przejęła, gdym wyszedł z naszéj kryjówki. Nigdy się nie przedstawiało memu wzrokowi nic równie przestraszającego, nad widok spustoszenia, jakie zewnątrz panowało. Saunders i Douglas wyszli zemną. Zimno było tak gwałtowne, żeśmy nie mogli ust otworzyć. Ze wszystkich części naszego ciała, same tylko oczy były odkryte. Wszystko co nas otaczało, tak śniegiem było zasypane, że niemożnaby odróżnić lądu od morza, gdybyśmy nie zwiedzili miejsc tych uprzednio. Góry lodu, któremi ocean był najeżony i ogromne kupy śniegów rozrzucone na powierzchni ziemi, przedstawiały obraz we wszystkich częściach sobie podobny. Tę jedną tylko zauważyłem różnicę, iż góry na wyspie wydawały się bydź mniéj ostre, a bardziéj wysokie, niż na oceanie.

Po długiém i pracowitém szukaniu, odkryliśmy nareszcie nasz okręt, zagrzebany w śniegu w tém samém miejscu, gdzieśmy go zostawili. Niepodobna było zbliżyć się do niego, śpiesznie więc wracaliśmy, ledwo już nieupadając pod srogością mrozu. Księżyc pod ten czas jaśniał całym swoim blaskiem, wśród nocnéj ciszy; lecz jasność jego prawie całkiem znikła przed nagłém ukazaniem się pięknego światła, którém tak często płonie widnokrąg tych klimatów, a które w niejaki sposób, nieobecność słońca zastępuje. Zorza północna, zwana także pochodnią północy, pozwala oku naszemu ogarniać całą cudowną nieskończoność nieba, wtenczas jeszcze, kiedy ziemia już się stała pustynią, na którą bez przerażenia poglądać nie można. Tysiące ciał gorejących, rozmaitych kształtem i barwą, płonęły na sklepieniu niebieskiém, zakreślając we wszystkich kierunkach najwspanialsze łuki. Zjawisko to, przewyższając wszelkie inne, któreśmy w tym rodzaju widzieli, najżywszém podziwieniem nas przejęło; ku południowi ogromną przestrzeń widnokręgu, najświetniéjsza purpurową powlekała barwa; a cała konstellacja Oriona, krwisty kolor przybrała. Jasność ta, z razu nieruchoma, wkrótce opuściła swe miejsce i barwę; mieniła się to w niebieskie to fioletowe odcienia; potém się rozwinęła po nad naszemi głowami w postaci baniastego sklepienia, z którego w kształcie festonów spuszczały się tęczowe łuki, jakie w końcu cały widnokrąg w świetne przystroiły zasłony, powiewające na tle złocistém, z którego rozrzucone gwiazd miriady, płomieniejące ciskały promienie.

Dusza nasza przejęta była takiém uniesieniem, na ten boski widok, że pomimowolnie musieliśmy uczuć w tém wspaniałém dziele, rękę Wszechmocnego Twórcy światów. W jednéj chwili wszystkie te ognie, skupiły się w ogólny środek, i jak lekkie zjawiska świetlne, co chwilowie w powietrzu zajaśniawszy, całkiem zniknęły ku południowo-zachodniéj stronie zenitu.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

## KWIATY.

Lilia z białą koroną, pięknym i kształtnie otwierającym się kielichem, rozkwitająca przy słonecznym promieniu i krople najczystszéj rosy zawierająca w swém łonie; czyż nie jest obrazem duszy jeszcze młodéj i nieskażonéj, z uszczęśliwieniem oddającéj się wrażeniom życia, a jednak starannie zachowującéj dawane jéj nauki mądrości?

Wiadomo, że fijołek skromności jest godłem, czyż to niewłaściwie? Kwiatek ten, ukrywa się pod gałęzie krzewów, pod gęste trawy, pod siateczki mchowe. Nie odgadnionoby go nigdy, gdyby miły zapach nie zdradził jego bytności. Można go deptać nie widząc wcale, i rozgnieść nawet, a biedny fijołek zginie, oddając powietrzu ostatnie wonne swoje tchnienie. Czyż nie tak, człowiek prawdziwie wspaniałomyślny, ukrywa się aby dobrze czynił. Czy nie tak rzeczywisty talent usuwa się w ustronie i osłania skromną powierzchownością? Czy nie tak każda istota sercem obdarzona szlachetném, mści się za doznane urazy wspaniałemi czyny.

Widzimy wzdłuż łąki krzaczki niezapominajek (Vergiesmeinnicht). Drobny niebieski kwiatek kąpie swe nóżki w strumieniu, podnosząc wesołą główkę ku przechodzącym i zdaje się mówić: „Pamiętaj o mnie“. I tak to serce wierne doznanym wrażeniom, serce

ciągle jedną myślą zajęte, widzi wszystko co go otacza, co się około niego dzieje, jak się wszystko odmienia, a niemogąc należeć do tego ustawicznego ruchu, prosi jednak o przyjazne wejrzenie i woła: „nie zapominaj o mnie.“

Spojrzyj na barwinek z kwiatkiem skromnym lecz pięknym, łodygą zawsze zieloną, listkami leczącemi; nie jestże to obraz przyjaźni, nieulegającéj wpływom klimatu ani pór roku, która się zawsze okazuje młoda i krzepka, zawsze gotowa żal uśmierzyć i blizny leczyć.

Wiciokrzew (*) do wzrostu potrzebuje wsparcia, okręca swe cieniuchne gałązki i śliczne liście około silniéjszego krzaku; lecz za to kształci ładny wieniec na głowie swego dobroczyńcy, i napawa go swą wonią. Jest to wizerunek człowieka, odpłacającego wyświadczone mu dobrodziejstwa przywiązaniem i wdzięcznością.

Kto zna czułoziół? (sensitive) zielone, drobniutkie i lekkie listki jego, końcem palca dotknione, usuwają się i boleśnie kurczą. Są dusze z przyrodzenia tak czułe i drażliwe, które zbliżenie obcéj osoby przestrasza, które najlżéjsze dotknięcie zranić może. Nie należy dotykać czułoziołu aby nie zniszczyć zieloności jego liścia. Równie nie godzi się lekce ważyć delikatność i tych osób, które nieroztropny wyraz, lub nierozważne uniesienie radości, może obrazić. Zapewne się ci nie jednokrotnie zdarzyło, miły czytelniku, widzieć rosnącą różę około płaczącéj wierzby. Jedna jest obrazem życia wesołego i niefrasobliwego, druga godłem trosków i smutku; jedna ze świtającą jutrzenką świeży swój otwiera pączek, druga pochyla ku ziemi długie swe, jakby spłakane gałęzie; pierwsza stanowi ozdobę uroczystości, druga jest krzewem grobowym. Lecz róża na swych nadobnych łodygach ma kolące ciernie, znamie boleści często mięszającéj się z roskoszą; a wierzba płacząca przedstawia tylko ożywiający chłód i liście do spoczynku nas wzywające.

Tak moglibyśmy we wszystkich kwiatach, znajdować godła naszego bytu, namiętności i uczuć. Szczęśliwi mający upodobanie w nauce kwiatów. Dziecię lubi je dla świetnéj barwy, wiek dojrzały dlatego, że je uważa za najpowabniéjsze dzieło Stwórcy; tylko zły człowiek nie lubi kwiatów; prosta ich mowa niezdoła się podobać zepsutéj jego duszy, a cudowność ich utworzenia, oburza niespokojne jego niedowiarstwo.

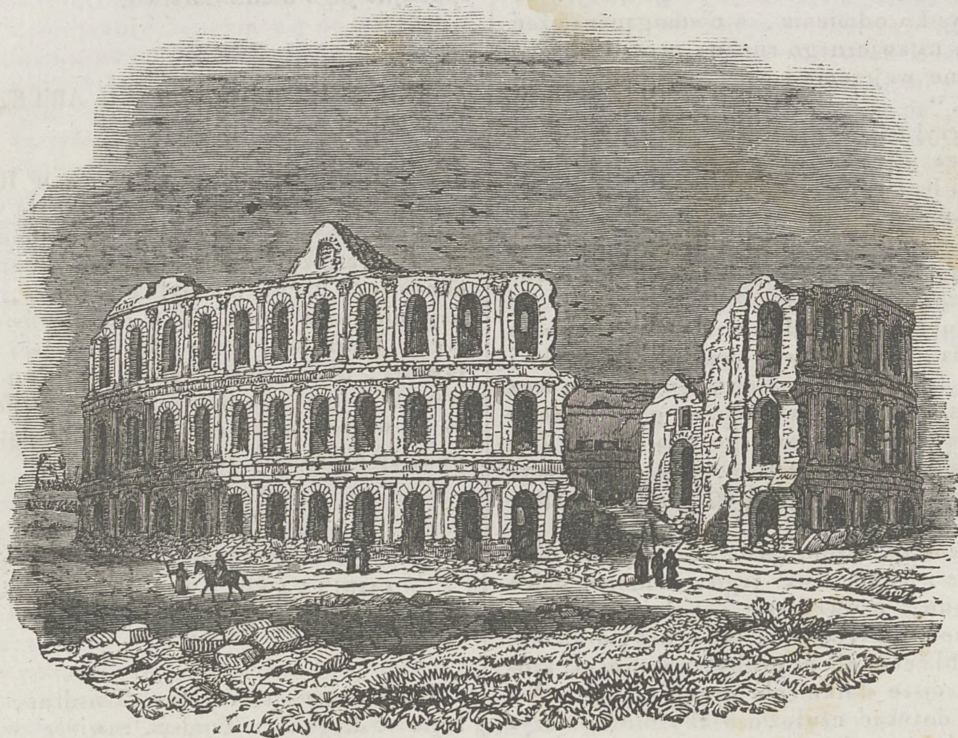
(*) Przewierceń Kluka, powój wonny lub Jerychońska róża.

## WĘGORZE W STUDNIACH ARTEZYJSKICH.

P. Giraudin professor chemii w Rouen, przesłał akademii paryzkiéj dwa małe węgorze, długością 3 lub 4 calów dochodzące, które z artezyjskiéj studni przy Elbeuf pochodziły. Barwa ich była czarniawa, i bynajmniéj niezbliżały się w podobieństwie do tych, które się w sąsiednich miejscach poławiają; okoliczność ta zdaje się dowodzić, iż stędnie artezyjskie nie samemu tylko przesiąkaniu wody winne są swój początek, lecz że i podziemne kanały zasilać je muszą.

## AMFITEATR RZYMSKI W EL-GENRME.

El-Genrme, starożytne Thisdrus, położone w Regencyi Tunisu, zawiéra w sobie zwaliska amfiteatru, który do najpiękniéjszych pomników budownictwa i przepychu rzymskiego należy. Według podobieństwa do prawdy, wznieśli go przodkowie Gordyana, który około 237 r. po nar. Chr. w téj prowincyi Cesarzem ogłoszony został. Amfiteatr ten, ma kształt eliptyczny czyli owalny i początkowie składał się ze czterech galeryj, jedna nad drugą wzniesionych, oraz 64 arkad. Wierzchni rzęd słupów, jest całkowicie zniszczony, niższe zaś dobrze się dotąd dochowały. Wysokość od poziomu do początku czwartéj galeryi 90 stóp wynosi, a przyjąwszy, że same jéj słupy były wysokie na stóp 15, całkowita wysokość budowy będzie wyrównywała 105 stopom. Przestwór wewnętrzny ma długości stóp 300, i szeroko jest na 200, w jego środku znajdowało się niegdyś źródło, które teraz jest zarzucone. Powierzchowność tych zwalisk, tak świeżo dotąd się dochowała, iż się zdaje jak gdyby te niedawno odnowione zostały; cały obwód budowy 1570 stóp dochodzić może. Podług Pucklera, całkowita długość amfiteatru wraz z murami, równa jest 450 stopom, a szerokość 300 takichże miar dochodzi. W jednym końcu téj budowy, znaleziono uszkodzony posąg Wenery, niedostaje tylko jéj głowy.



(AMFITEATR RZYMSKI W EL-GENRME.)

Wspaniały widok tego amfiteatru nader jest zajmujący, i z tego jeszcze powodu, iż przedstawia uroczystą sprzeczność, jaka zachodzi pomiędzy olbrzymiemi zwaliskami a w około położonemi nędznemi chatami Beduinów, którzy najbiedniejsi są może, ze wszystkich pokoleń tego szczepu. Cała okolica nadzwyczajnie jest bogata w szczątki budownictwa starożytnego; w wielkiéj ilości natrafiają się tutaj zwaliska rozmaitych budowli, wodociągi, cysterny, i stosy kolumn marmurowych. W samémże mieście, o pół godziny od amfiteatru odległém, również wiele znajduje się zwalisk. Miasto Sousah, leży ztąd w odległości sześciu mil niemieckich. Książe Puckler Muskau, który w r. 1835 okolice te zwiedzał, powiada, iż amfiteatr rzeczony, pod względem wielkości i sztuki budowniczéj, mało co Werońskiemu ustępuje, który po sławném Colosseum w Rzymie, pierwsze trzyma miejsce.

Regencya Tunis, która w starożytności była najprzód państwem potężnéj i handlowéj Karthagi, póżniéj zaś rzymską prowincyę stanowiła, ze wszystkich krajów afrykańskich, najwięcéj zawiéra okazałych i olbrzymich zabytków rzymskiego budownictwa.

w WARSZAWIE, NAKŁADEM I DRUKIEM JANA GLÜCKSBERGA, PRZY ULICY MIODOWEJ Nr. 482.